

"Kasia"

Z belferskiego stołka

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 7, 276-280

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z BELFERSKIEGO STOŁKA

Mija dziewiąty rok mojego związku ze szkołą, z zawodem nauczyciela polonisty. Nie jest to mało, choć gdy się patrzy na starsze koleżanki, seniorki z 20- i 30-letnią praktyką, czai się lęk. Nadchodzące lata budzą niepokój. Niepokój uzasadniony, zważywszy obecną sytuację szkolnictwa i nauczycielstwa oraz potrzebę zmiany. Jaka ta zmiana ma być, trwają dyskusje w środowiskach nauczycieli, mimo że rząd narzuca swoją wizję. Wszelkie propozycje powinny oczywiście wypływać z tego środowiska, którego dotyczą. Mamy już sporo młodej kadry, pedagogów otwartych na problemy, które stawia współczesny świat, gotowych do podjęcia odpowiedzialności, pełnych zaangażowania. Młodzi nauczyciele rwą się do naprawiania starych błędów. Czy wszystko, co stare, było złe? Z tym zdaniem nie zgadzam się. Przeladowanie programów, akademickość nauczania, stereotypowość, brak przygotowania do życia — to oczywiście prawda. Pozostają jednak cele, zwłaszcza wychowawcze, dyscyplina, wartości moralne i etyczne — nie negujemy wszystkiego!

Moje pierwsze zetknięcie się ze szkołą, z pozycji *ex cathedra*, nastąpiło 2 stycznia 1984 roku. Miałam już za sobą 23 lata życia, rozpoczęte studia na Uniwersytecie Gdańskim, małżeństwo i śmierć dziecka. W pustce, która ogarnęła mnie po stracie Kasi, postanowiłam kontynuować polonistykę. Jako, że wówczas trzeba było obowiązkowo wykazać się pracą na stanowisku nauczyciela, co było warunkiem *sine qua non* studiów pedagogicznych, zgłosiłam się do Wydziału Oświaty w Elblągu, gdzie podówczas mieszkałam. Propozycji dla plonistki nie było — środek roku szkolnego — ale, że akurat pewna pani odeszła na urlop macierzyński, miejsce się znalazło. Szkoła Podstawowa nr 3, tzw. „sportowa”. Pięknie położona, z zapleczem i odpowiednim wyposażeniem.

Na pierwszą lekcję weszła ze mną pani dyrektor. Z natury byłam dosyć nieśmiała i łatwo się denerwowałam, co objawiało się rumieńcem. No, ale skoro już stanęłam przed klasą, musiałam kontynuować. Szybko wciągnęłam się w tryb i tempo nauczania. Rozkłady lekcji odziedziczyłam po mojej poprzedniczce. Jako osoba młoda, niedoświadczona, wymagałam od swoich uczniów tyle, co od siebie. Chciałam jak najlepiej wywiązać się z powierzonych mi obowiązków, przekazać uczniom, ile tylko wiedziałam. Przeważnie to jednak nie wychodziło. W każdej klasie jest grupka dzieci, które chcą się uczyć, autentycznie przejmują się stawianymi im wymaganiami. Większość jednak „ślizga się” tylko po powierzchni, aby lekcja minęła. Lektury do rąk nie wezmą, wypracowania pisemne — kilka zdań, gramatyka i ortografia — leży.

Jako wzorowy nauczyciel tłumaczę, wyjaśniam, przekonuję, tymczasem gdzieś z tyłu uczniowie grają w karty pod ławką, rysują, przeglądają się w lusterku, puszczają „zajączki”, etc. Z jednej strony chęć, z drugiej — omijanie. Z wyników nauczania zaś tylko nauczyciel będzie rozliczony. Być może jestem już tak „skrzywionym” nauczycielem, że nie dostrzegam pozytywnych stron, choć te niewątpliwie były. Zwłaszcza

pamięć uczniów, pozdrowienia w czasie wakacji a i później — po roku czy dwóch. Z tą szkołą rozstałam się już po 6 miesiącach. W międzyczasie wróciła moja poprzedniczka i objęła swoje klasy, ja łątałam dziury — chodziłam na wszelkie możliwe zastępstwa.

Najcieplej wspominam lekcje indywidualne, których udzielałam dwóm chorym dziewczynkom, siostram. Obie przechodziły wielokrotne operacje nóg, cierpiały na zanik mięśni. Nie odznaczały się zdolnością, ale nadrabiały pilnością. Marzeniem każdego nauczyciela jest mieć tak pilnych uczniów.

Nadeszły wakacje i lato. 30 sierpnia urodziłam syna Michała. Do szkoły już nie wróciłam, wzięłam urlop wychowawczy. W następnym roku urodził się Marcin. Mieszkailiśmy już wtedy w mojej rodzinnej wsi, u rodziców. Jak większość młodych małżeństw, dotknęły i nas kłopoty mieszkaniowe, a właściwie brak jakiegokolwiek mieszkania. Do pracy nie mogłam wrócić, dwójka maluchów wymagała ciągłej opieki. Ucierpiały na tym również studia. Szczęśliwie udało mi się wznowić je w 1986 roku. Uczyłam się, gdy dzieci spały. Musiałam powtórzyć cały II rok.

Do pracy w szkole wróciłam we wrześniu 1987 roku. Całkowite przeciwieństwo wielkowiejskiego molocha. Mała 8-klasowa szkółka ze 126 uczniami i 11 nauczycielami. Znowu poprzedniczka wzięła urlop wychowawczy. Otrzymałam język polski w klasach V-VIII i wychowawstwo kl.VII. Rozkłady materiału nauczania pożyczyla mi moja dawna polonistka ze szkoły podstawowej. Trochę narzekałam na trudny dojazd. 11 km z przesiadką, było uciążliwe zimą i w czasie pluchy. Razem ze mną przyjęto Henię, koleżankę z tej samej miejscowości, więc dojazd nie przykrzył się. Prawie wszyscy nauczyciele z naszej szkoły dojeżdżali, łącznie z dyrektorką. Na miejscu mieszkało tylko dwoje nauczycieli. Niedogodne połączenia i ciągły pośpiech utrudniały pracę pozalekcyjną, kółka zainteresowań i inne tego typu formy wychowawcze. Wieczorem nie miałyśmy praktycznie żadnego powrotu. W ten sposób zaczął się mój, dziś już 6-letni, kontakt z dziećmi z SP w Borczu.

Ciężki okazał się pierwszy rok. Raniutko, z dwójką dzieci; Marcin w wózku lub na rękach do opiekunki, Michał do przedszkola. Droga do moich rodziców nie była utwardzona, często więc grzęzłam w błocie lub glinie po kostki, w zimie zaś polami przez zasy po kolana. Potem jazda autobusami, czekanie na połączenie w miejscu przesiadki. Lekcje i szybko z powrotem, by zdążyć na autobus; pranie, sprzątanie, poprawianie zeszytów i prac pisemnych uczniów, konspekty, późno w nocy nauka związana ze studiami. Do dziś nie wiem, jak wytrzymałam w tym kieracie. Mąż pracował na zmiany, niewiele mi pomógł. Jedyne matka po powrocie z pracy pomagała mi. Zdarzało się, że dzieci chorowały, brałam zwolnienia. Zdawałam sobie sprawę, że to ze stratą dla uczniów, ale zdrowie dzieci jest dla mnie, jak dla każdej zresztą matki, najważniejsze. Mimo wszystko udało się przetrwać ten rok. Po półroczu wróciła Marysia, moja poprzedniczka i dostała swoją VIII klasę. Mi pozostały trzy klasy i wychowawstwo, co dawało akurat goły etat. Trochę odetchnęłam. W następnym roku Marysia znowu wzięła urlop, ja zaś dalej ciągnęłam cztery klasy.

Będąc na IV roku studiów postanowiłam trochę zająć się boreckimi dziećmi. Moje maluchy chodziły już do przedszkola, miałam więc trochę czasu. Zaangażowałam się w harcerstwo. Drużyna skupiła młodzież żywą, chętną, wesołą i rozśpiewaną,

a i w nauce niezgorszą. To był najlepszy rocznik ze wszystkich, które do tej pory przewinęły się przez tę szkołę. Zbiórki, rajdy, wycieczki, obozy — aż paliliśmy się do nowych przygód. Było to tym bardziej pociągające dla młodzieży, że wieś nie oferowała im niczego. Rodzice pracowali w PGR-ze, na miejscu działał jedynie sklep spożywczy. Ania, Piotrek, Adam, Ola, Kalina, Iza, Beata — te imiona pozostaną w mojej pamięci. Mimo nieodzownych rozczarowań, drobnych psikusów — czego nigdzie nie brak — wzajemna sympatia uwydatniała się w zaangażowaniu, szybkości, ochoczości i natychmiastowym spełnianiu moich pomysłów czy poleceń.

Młodzież wiejską trudno jest rozruszać, ale jak się w coś angażuje, to całym sercem. Pociąga ich sport, wszelkiego typu zawody. Udało mi się rozbudzić ich teatralnie. Wystawiliśmy wspólnie inscenizację lektury szkolnej, mitów oraz jasełek kaszubskich. Nie było tego dużo, ale zapal dzieci był dla mnie najlepszą zapłatą.

Osobiście interesuję się moim regionem i jego historią. Staralam się przekazać to młodzieży. Widoczną formą był Konkurs Recytatorski Poezji Kaszubskiej. Cieszył się powodzeniem, zwłaszcza na początku. Zniechęciły uczestników negatywne opinie i pokątne uśmieszki pozostałych, każde potknięcie językowe. Większość uczniów to Kaszubi z dziada pradziada, na co dzień posługujący się w domu Kaszubszczyzną. Trudności sprawia im czytanie tekstów kaszubskich, lękają się dodatkowych kreseczek, kropek i daszków. Wierzą tekstom pisanim i starają się tak wymawiać, jak się pisze. Wielokrotnie im tłumaczę, że najważniejsze jest zrozumienie tekstu utworu, dopiero potem interpretacja, ale interpretacje w ich mowie codziennej, domowej. Napawa nadzieją nowe pokolenie bez przesądów i zahamowań; kształci się nowy rocznik „harcerski”, jak go nazywam w porównaniu do byłej drużyny. Jest to zasługa ich wychowawczyni, p. Lidii Goszka. Tamten rocznik p. Lidka ciągnęła od I do VIII klasy, ten również zaczęła od I. i dzieci zapowiadają się podobnie, może nawet lepiej. Zasługa ich wychowawczyni pozostaje jednak niekwestionowana. Chciałabym, aby wychowywała moje dzieci, co się nie spełni, gdyż moje chodzą do innej szkoły.

Pani Lidka jest dla mnie wzorem pedagoga. Nie jest już młoda, ma za sobą prawie 30 lat pracy nauczycielskiej. Mieszka samotnie z matką staruszką. Całe swoje życie poświęciła dzieciom. Pamiętam jej 25-lecie. Nikt nie zadbał o kwiaty, o upominek. U nas wszystko dzieje się na ostatnią minutę. Na moją uwagę, by coś podarować p. Lidce, dyrektorka odpowiedziała: „A po co?” Dobrze, że poparła mnie koleżanka: „Byłoby mi bardzo przykro, gdyby o moim 25-leciu też zapomniano”. Wiadomo, że na dyrektorach zawsze się psy wieszają, ale ta sytuacja bardzo mnie zabolowała i zniechęciła. Już więcej na ten temat nie będę pisać, by to nie wyglądało na obmawianie. Każdy z nas ma swoje grzeszki, ferowanie ocenami bez zastanowienia nic nikomu nie pomogło, a przynosi ujmę. Choć nie w tym przypadku.

Jednocześnie kontynuowałam studia. Na IV roku uzupełniłam wszystkie zajęcia z V roku, rozpoczęłam też pracę magisterską. To pozwoliło mi wcześniej, bo już w listopadzie obronić pracę. Uzyskałam tytuł magistra filologii polskiej ze specjalnością nauczycielską. Doceniając to oraz zaangażowanie w pracy wychowawczej inspektor oświaty wystąpił o nagrodę dla mnie do Kuratora w Gdańsku. Niestety, nie byłam jeszcze mianowana, ale spełniałam wszystkie warunki, by to mianowanie uzyskać. Po lekcji oceniającej, na której obecni byli p.dyrektor i moja dawna

polonistka, uzyskałam tzw. ocenę i nic nie stało na przeszkodzie, by nagrodę Kuratora otrzymać. Szkoda tylko, że wraz z pieniżkami nie otrzymałam żadnego pisma. Inspektor obiecał je wręczyć uroczyście, ale tak się nawet po cichu nie stało.

„Zmorą” wszystkich polonistów mojego regionu była metodyczka pani Regina Pawłowska. „Zmorą” napisałam w cudzysłowie, ponieważ wyróżniała się wielkim taktem i delikatnością. Dokładna do pedanterii, zwracała uwagę na każdy szczegół. W czasie omawiania pierwszej hospitowanej przez nią lekcji rozplakałam się. Wszystko było nie tak. Obawa przed oceną metodyczki trwała w każdym z nauczycieli. Mimo tego, na konferencjach i zespołach, każdą lekcję pokazową oceniała pozytywnie. We mnie pozostała uraza po pierwszej lekcji. Szkoda, że nie zostałam wówczas powiadomiona o jej przyjeździe, ale takie tłumaczenie nie jest żadnym tłumaczeniem. Uzupełniłam potem braki, poprosiłam, by wyjaśniła mi wszystkie zasady etc. Zdaję sobie sprawę, że lekcje pokazowe na konferencjach czy spotkaniach zespołu były przygotowywane wprzód, przeważnie pod dyktando, po konsultacji z metodyczką.

Gdy nadeszła moja kolej poprowadzenia lekcji pokazowej, zespół języka polskiego przestał istnieć. Wewnętrzne zmiany organizacyjne spowodowały odejście p. Pawłowskiej. Jej następczyni już nie potrafiła stworzyć takiego nastroju, takiej uwagi i szacunku dla przedmiotu i dla siebie. Była to zresztą następczyni pożyczona z innego regionu. U nas wybór nowej długo nie kleił się. Pani, która zyskała największe zaufanie i w końcu zgodziła się zostać metodyczką, nie uzyskała akceptacji swojego wójta na obniżenie ilości godzin nauczania. Bo oto nadeszły czasy samorządów. Gminy Stężyca i Somonino jako jedne z pierwszych w tym województwie przejęły szkoły na swój garnuszek. Ja w tym czasie byłam na Studium Podyplomowym Języka Polskiego i przymierzałam się do specjalizacji. Szkoda, że nic z tego nie wyszło, gdyż dodatkowo zaangażowałam się w gazetę samorządową.

A w szkole? Licząc od początku, z klasy, której wychowawstwo mi powierzono, nikt nie zdawał egzaminu do szkoły średniej. Z rocznika „harcerskiego” czołówka dostała się do liceów i techników, w tym renomowanych, o wysokim poziomie. Taki rocznik zdarza się jednak bardzo rzadko w miejscowościach typu Borcz. Dzieci i ich rodzice nie mają zbyt wielkich ambicji. Ich zdaniem nie warto się uczyć, liczą się tylko pieniądze, samochód i dostatnie życie — szkoła i nauka tego nie zapewniają, co widać zresztą po nauczycielach. Rok później podstawówkę kończyły niedobitki mojej drużyny. Niektórym się powiodło, choć ta klasa należała już do „zmaterializowanych”. Potem nastął rocznik „cwaniaków” — mocni w gębie, słabi w piśmie. Do liceum startowała tylko jedna osoba.

Jak widzę szanse młodego narybku? Dużą rolę odgrywa przygotowanie w nauczaniu początkowym, w klasach I-III. Z tym w mojej szkole zawsze było krucho. Widać efekty po umiejętnościach i zeszytach uczniów. Zaledwie znikomy procent odpowiada naszym pragnieniom i oczekiwaniom. Potem jest o wiele trudniej, niekiedy wręcz niemożliwością jest nakłonić dziecko do pilności i staranności. Miałam ucznia, który skończył szkołę, a nikt nie potrafił przeczytać jego pisma. Trzymanie go w szkole nie miałoby żadnego sensu, gdyż pisma nie umiał zmienić a z wypowiedziami ustnymi nie było aż tak źle. Zwłaszcza przy kryteriach stosowanych przy stawianiu oceny niedostatecznej. Zdaję sobie sprawę, że takie kłopoty mieli nauczyciele także za moich

szkolnych czasów, że gros dzieci to były dzieci słabe. Taka już jednak jest dola nauczyciela wiejskiego. Rzadko się zdarza rocznik dzieci, z których można coś więcej wykrzesać. Tutaj właśnie przydałby się — gorąco ostatnio dyskutowany — program minimum. Nie wszystkie dzieci zostaną akademikami; większości wystarczy umiejętność czytania, pisania oraz radzenia sobie w życiu. Bycia odpowiedzialnymi ludźmi i dobrymi rodzicami. Dylematem pozostaje sposób rozkwalifikowania dzieci; dziecko jest materiałem żywym, tabula rasa, nie dającym się mechanicznie zaklasyfikować, zapuszkować. Szansę powinno mieć każde. A że te szanse nie były i nie są równe, wynika choćby z faktu, że każde dziecko chodzi do innej szkoły i ma innych nauczycieli. Różny jest też poziom przygotowania i wyposażenia danej szkoły, jej umiejscowienie i oferty. Z tym trzeba się pogodzić; uniformizm byłby odwróceniem w drugą stronę.

Moje przykre doświadczenia? Unikałam tego pytania, ale... Raz uciekłam z klasy, by wypłakać się w łazience. To było w klasie „cwaniaków”. Być może za dużo się przejmuję, za dużo wymagam od dzieci. Sama z natury jestem drobiazgową i dokładną, ambitnie staram się wykonać wszystko jak najlepiej, oczywiście na miarę swoich możliwości. Moją ambicją było zostać na uczelni, podjąć pracę naukową. Propozycje miałam, temat pracy doktorskiej rozpoczęłam. Sytuacja życiowa tak się jednak ułożyła, że mąż od dwóch lat nie pracuje, a mnie nie stać na luksus zmiany pracy — jako asystent zarobiłabym mniej. Poza tym nie mamy własnego mieszkania, a po zlikwidowaniu dodatków mieszkaniowych trzeba samodzielnie opłacać kwotę najmu (połowa pensji). Nauczyciele i tak żyją na granicy ubóstwa, a jeśli tylko jeden z małżonków pracuje — to już nędza. Każdy jednak starannie ukrywa swoje nieszczęście. Taka już ambicja tego zawodu.

Nie chciałabym tutaj narzekać, ani żalić się. Mogłam przecież wybrać inny los — zdobyć inny zawód, wyjść bogato za mąż. Dużą satysfakcją dają zadowolone buzie dziatwy szkolnej, ich sukcesy i osiągnięcia, miłe wspomnienia w dorosłym życiu. Nauczycielstwo jako służba jest ciężkim chlebem codziennym..

Po urodzeniu córki wracam do pracy. Na urlop wychowawczy nie mogę sobie pozwolić. Od 15 kwietnia mała Kasia pójdzie do opiekunki.